

„Wołnorynkowa” demokracji

krytyka

3 listopada 2010

„Demokracja to ustrój w którym rządzi durnota – przecież wiadomo, że głupich jest więcej niż mądrych...” – zarzucił swego czasu Janusz Korwin-Mikke, guru tzw. „wołnorynkowców” i młodych kapitalistów, uznających siebie za skrajnych prawicowców gardzących demokracją.

To bardzo dobrze z jednej strony, że coraz więcej młodych (i nie tylko) ludzi dostrzega głupotę obecnego demoliberalnego systemu. Z drugiej jednak strony, kiedy mówimy o konserwatywnych liberałach, cieszyć się nie ma z czego. To właśnie oni bowiem postulują wprowadzenie systemu, który sam z siebie jest kwintesencją demokracji i dyktatu motłochu! Bajdurzenie o autorytarnych rządach monarchy jest co najwyżej śmieszne, gdyż autorytarne rządy „wołnorynkowca” są autorytarne jedynie z pozoru. Wprowadza on bowiem system niczym nie ograniczonego wolnego rynku, na którym cena zależy ma od wspomnianego motłochu. Motłoch nie sięga na przykład po jedzenie zdrowe i naturalne, tylko po jedzenie sztuczne i chemiczne. Tylko dlatego, że sztuczne i chemiczne jest trochę tańsze i być może czasem lepsze w smaku czy wyglądzie. Skoro motłoch po nie sięga, to naturalną kolejną rzeczą największy interes można ubić właśnie tam, gdzie jedzenie gorsze jakościowo (ale niby lepsze cenowo czy smakowo). Producenci masowo porzucają więc uprawę normalnego jedzenia – zajmują się uprawą marchewki na sztucznym nawozie (zamiast naturalnego) czy tworzeniem produktu szynkopodobnego z ulepszcaczami (zamiast produkcją normalnej szynki). Ilość paskudztwa na rynku wzrasta, a więc jego cena spada.

Kto na tym traci? Oczywiście ludzie mądrzy i rozsądni, będący w mniejszości, którzy po prostu nie chcą się truć. Tracą w ten sposób, że cena produktów normalnych i zdrowych drastycznie

wzrasta, bo ze względu na małą opłacalność coraz mniej osób taką żywność produkuje, a dostępność tego typu produktów na pułkach sklepowych spada (są one dostępne w coraz mniejszej ilości sklepów). Kogo będzie stać na jedzenie drogiego, ale normalnego jedzenia, po które jeszcze będzie trzeba gdzieś jeździć i dlaczego normalni ludzie muszą cierpieć przez wolnorynkowy dyktat motłochu?

A przykładów tego typu można mnożyć. Ot, chociażby, wiadomym jest przecież, że rynek dzienników prasowych w Polsce zdominowany jest przez tytuły brukowe, lewackie i szmirowate. Kto ma największy nakład jednorazowy i sprzedaż? „Fakt”, „Gazeta Wyborcza”, „Super Express” i „Rzeczpospolita”. A przepraszam, może ja chciałbym mieć możliwość zakupu dziennika normalnego, prawicowego i rzetelnego (już uprzedzam, „Nasz Dziennik” do takich nie należy)? Dlaczego znów ten magiczny rynek nie uwzględnia w ogóle moich potrzeb? Dlaczego bogaci kapitałiści zrzeszeni w różnego typu UPR-ach czy Alternatywnych Szkołach Biznesu i Rozwoju Osobistego im. Misesa nie rozpoczną wydawania swojego dziennika? Przecież tygodniki swoje mają, chociażby „Najwyższy Czas!”, który ze swoim średnim nakładem 30 000 z pewnością do liderów rynku nie należy. Czyżby wydawanie takiego dziennika było nieopłacalne? A na wolnym rynku mam rozumieć nagle będzie opłacalne? Skoro teraz rynek nie przewiduje takiej potrzeby, to nie będzie przewidywał jej nigdy! Dlatego, że ludzie od poważnych wywodów, ciekawych felietonów czy innych tekstów wymuszających odrobinę myślenia, zawsze będą woleli tanią sensację o morderczym kurzu, czy politykę dla plebsu w postaci krzyża smoleńskiego albo dopalaczy.

Oczywiście mogę sobie poczytać informację w internecie, ktoś zaraz zarzuci. Faktycznie mogę, tak samo jak mogę kupować produkty zdrowe i ekologiczne. W jednym i drugim przypadku jednak tracę, gdyż dostęp do pożądanego „produktu” jest prawie niemożliwy, lub jeśli nawet – to produkt ten jest bardzo drogi.

Czy ten system przypadkiem czegoś nie przypomina? Przecież to demokracja! Głupia większość, narzuca coś mądrej mniejszości! Zupełnie jak w demokratycznym systemie politycznym, w którym głupia większość głosując w głosowaniu na „swoich” (to znaczy głupich) narzuca rządy polityczne mądrej mniejszości! I proszę nie wierzyć w bujdy wolnorynkowców, że demokracja nie daje szansy mądrym, a wolny rynek taką szansę daje, bo powyżej udowodniłem, że jest to bzdura. Tak jak na wolnym rynku ja z pozoru mogę sobie kupić zdrową szynkę, tak demokracja z pozoru daje szansę opozycji (zarówno parlamentarnej, jak i nieparlamentarnej) – przecież zarówno wolnorynkowy UPR-WiP, jak i na przykład narodowo-radykalny NOP działa i istnieje. Oczywiście szansa na rządy obu formacji jest tak mała, jak małe są moje szanse na tanią zdrową żywność. Bo ludzie zawsze wybiorą produkt z pozoru lepszy, ale w gruncie rzeczy tandetny i szkodliwy. Zawsze będą woleli szynkę lepszą w smaku, ale szkodliwą dla zdrowia, tak jak zawsze będą woleli polityka „wyżelowanego” i wypindrzonego „pijarem”, obiecującego gruszki na wierzbie, aniżeli kogoś gadającego z sensem.

I właśnie dlatego to nie motłoch ma decydować o tym kto rządzi, ani o tym która szynka jest lepsza, bo gdy pozostawi go się samemu sobie czy to w sklepie, czy przy urnie, zawsze wybierze źle, a my ten zły wybór później będziemy musieli znosić. I ta konkluzja wcale nie oznacza, że należy wyeliminować „żelowych” polityków czy tanią sztuczną szynkę. Trzeba po prostu postulować wprowadzenie systemu sprawiedliwego, który będzie opierał się na rozumie i będzie dawał równe szanse obu stronom, a nie tylko jednej. Takim systemem nie jest ani demokracja w wymiarze politycznym, ani mistyczny wolny rynek w wymiarze gospodarczym, gdyż to w gruncie rzeczy te same zwierzaki, różniące się co najwyżej kolorami cętek.

Autor: Andrew0

Źródło: [Autonom](#)